

OGAR



W mych udręczonych uszach pobrzmiwa nieustannie koszmarny furkot i trzepot oraz jakby słabe, odległe ujadanie jakiegoś wielkiego ogara. Nie jest to sen ani, jak się obawiam, szaleństwo, zbyt wiele się bowiem wydarzyło, abym mógł mieć jakiegokolwiek wątpliwości.

St John jest zmasakrowanym trupem; tylko ja wiem dlaczego i wiem też, że wkrótce palnę sobie w łeb, strwożony, by i mnie nie spotkał równie okropny los. W głębi mrocznych posępnych korytarzy upiornych fantazji krąży czarna bezkształtna Nemezis, która przywiedzie mnie ku samozagładzie.

Niechaj Niebiosa wybaczą głupotę i upodobanie okropieństw, które sprowadziły na nas obu tak potworny los! Znużeni popolitością prozaicznego świata, gdzie nawet radości przygód i romansów mogą się z czasem znudzić, St John i ja zgłębialiśmy radośnie tajniki wszelkich estetycznych i intelektualnych prądów, obiecujących odsunięcie choć na chwilę przytłaczającej nas nudy. W swoim czasie interesowaliśmy się jednocześnie tajemnicami symboli stów i ekstazami prerafaelitów, lecz każdy nowy trend wkrótce tracił dla nas swój urok, przestawał być pociągający i pokrywał się patyną.

Pomóc nam mogła jedynie posępna filozofia dekadentów, w której odnaleźliśmy moc, zwiększając stopniowo głębię i diabolizm naszych penetracji. Niebawem Baudelaire i Huysman przestali budzić w nas dreszczyk emocji, aż koniec końców pozostały nam jeszcze bardziej bezpośrednie bodźce nadnaturalnych osobistych przygód i przeżyć. Te właśnie zatrwające potrzeby emocjonalne przywiodły nas ostatecznie, szlakiem plugawym i mrocznym, do miejsca, gdzie z trwogą i wstydem snuję swą opowieść, przepelniony dławiającą grozą, o tym, jak poszukując ekstremalnych doznań, podjęliśmy się odrażających czynów, takich jak pładrowanie grobów.

Nie potrafię wyjawić szczegółów naszych szokujących wypraw ani nawet po części wymienić najbardziej plugawych trofeów zdobiących sekretne muzeum, urządzone przez nas w wielkim kamiennym domu, gdzie wspólnie zamieszkiwaliśmy, tylko we dwóch, bez służby. Muzeum nasze było bluźnierczym, mrozącym krew w żyłach miejscem, gdzie z szatańskim gustem neurotycznej wirtuozerii zebraliśmy i stworzyliśmy całe uniwersum grozy, by pobudzić nimi naszą złąknioną doznań perwersyjną wrażliwość. Był to pokój tajemny, mieszczący się głęboko, bardzo głęboko pod ziemią, gdzie ogromne, skrzydlate demony wykute z bazaltu i onyksu wyrzygiwały z wykrzywionych diabelskim uśmiechem ust strugi zielonego i pomarańczowego światła, a ukryte pneumatyczne rury wprawiały w kalejdoskopowy tan śmierci rzędy czerwonych, trupich istot przyobleczonych w fałdziste, obszerne czarne szaty.

Przez rury te płynęły wonie, jakich w danym momencie byliśmy spragnieni. Niekiedy był to zapach bladych cmentarnych lilii, innym razem narkotyczna woń kadzidel przywodząca na myśl wschodnie świątynie podczas pochówku tamtejszych władców, kiedy indziej zaś - aż drzę na to wspomnienie! - przerażający, rozdzierający duszę odór świeżo rozkopanego grobu.

Wzdłuż ścian tej odrażającej sali stały sarkofagi pradawnych mumii ustawione na przemian z udatnymi, wyglądającymi jak żywe ciałami, dziełami doskonale przygotowanymi według najlepszych przepisów sztuki wypychania zwierząt, oraz kamiennymi nagrobkami skradzionymi z najstarszych cmentarzy świata. W niszach tu i ówdzie umocowane były najróżniejszych kształtów czaszki i głowy, zachowane w różnym stadium rozkładu. Można tu było napotkać zarówno gnijące, łyse czerepy szlachciców, jak i świeże, promieniejące złociste główki niedawno pogrzebanych dzieci. Wszystkie malowidła i posągi przedstawiały diabły i demony, niektóre z nich były moim i St. Johna dziełem.

Zamknięta na klucz aktówka oprawna w wygarbowaną ludzką skórę zawierała pewne nienane i nie nazwane

rysunki będące rzekomo dziełem Goi, które autor popełnił, lecz nigdy nie ośmielił się ich opublikować. Były tam upiorne instrumenty muzyczne, smyczkowe, dęte drewniane i dmuchane, z których od czasu do czasu z St. Johnem dobywaliśmy kakofonii przerażających swym dysonansem przenikliwych dźwięków, w wyłożonych zaś hebanem gablotach umieszczona była najbardziej nieprawdopodobna i niewyobrażalna w swej różnorodności kolekcja cmentarnych łupów, jaką zdołała kiedykolwiek zgromadzić ludzka perwersja i szaleństwo. Szczególnie o tej kolekcji wolałbym się nie wypowiadać. Dzięki Bogu, że miałem odwagę ją zniszczyć, nim podjąłem decyzję o unicestwieniu samego siebie!

Łupieżcze wyprawy, podczas których gromadziliśmy nasze niewypowiedziane skarby, zawsze były pamiętnymi pod względem artystycznym wydarzeniami. Nie byliśmy prymitywnymi hienami cmentarnymi, jedynie pracowaliśmy ogarnięci specyficznym nastrojem, który tworzyły krajobraz, otoczenie, pogoda, pora roku i blask księżyca. Rozrywki owe stanowiły dla nas najbardziej wyrafinowaną formę ekspresji, toteż staraliśmy się, by wszystko dopięte było na ostatni guzik. Niewłaściwa pora, światło błyskawic czy rozmiękła po deszczu, mlaskająca gleba w zupełności zniweczyłyby ekstatyczną radość, jaka ogarniała nas po ekshumacji kolejnego złowrogo uśmiechniętego, skrywanego przez ziemię sekretu. Z nienasyceniem, gorączkowo poszukiwaliśmy nowych miejsc i oczekiwaliśmy na właściwe naszym działom warunki - St. John zawsze był przywódcą i to on doprowadził nas w końcu w to drwiące, przekłete miejsce, które sprowadziło na nas obu odrażającą i nieuchronną zgubę.

Jakiż posępny i złośliwy los ściągnął nas na ten upiorny holenderski cmentarz? Wydaje mi się, że to mroczna plotka i legendy, opowieści o śmiałku, pogrzebanym przed pięcioma stuleciami, który ongiś sam był łupieżcą grobów i skradł ze starego grobowca pewien potężny przedmiot. Pamiętam ostatnie chwile owej sceny - błądy jesienny księżyc wiszący nad grobami, rzucającymi długie cienie, groteskowe drzewa o koronach zwieszających się nisko ku bujnej, nie przyciętej trawie i murszejącym płytom; ogromne legiony dziwnych, gigantycznych nietoperzy przelatujące na tle tarczy księżyca; prastary, obrośnięty bluszczem kościół wskazujący długim, widmowym palcem w zagniewane niebo; świecące owady, które tańczyły jak błędne ognie pod cisami nieopodał; smród zgnilizny, roślinności i trudniej rozpoznawalnych rzeczy mieszał się niesiony podmuchami wiatru płynącego od odległych bagien i mórz i, najgorsze z tego wszystkiego, słabe, lecz słyszalne, ujadanie jakiegoś ogromnego psa, którego nie mogliśmy dojrzeć ani nawet umiejscowić. Na ten dźwięk zadrżeliśmy, przypominając sobie opowieści wieśniaków, ten bowiem, którego szukaliśmy, wiele stuleci temu znaleziony został martwy, okrutnie rozszarpany kłami i pazurami jakiejś nieznannej, niewyobrażalnej bestii.

Pamiętam, jak rozkopaliśmy grób cmentarnego rabusia i jak byliśmy przejęci, wyobrażając sobie siebie, grób, błądy łypiący księżyc, upiorne cienie, groteskowe drzewa, gigantyczne nietoperze, prastary kościół, dławiące wyziewy, tańczące błędne ogniki, delikatne pojękiwanie nocnego wiatru i dziwaczne, na wpół słyszalne, dochodzące nie wiadomo skąd ujadanie, co do którego nie byliśmy pewni, czy rozlegało się naprawdę, czy też tylko się nam zdawało.

Nagle nasze łopaty zgrzytnęły o coś twardszego niż ziemia i oczom naszym ukazała się gnijąca trumna pokryta substancjami mineralnymi, które osadziły się na niej przez stulecia. Wieko było niesamowicie grube i twarde, lecz w końcu sforsowaliśmy je i nasyciliśmy oczy widokiem tego, co znajdowało się wewnątrz.

Dużo, zdumiewająco dużo pozostało w trumnie mimo upływu pięciuset lat. Szkielet, choć w wielu miejscach pogruchotany szczękami istoty, która go zabiła, trzymał się w kupie ze zdumiewającą trwałością, my natomiast napawaliśmy się widokiem białej czaszki, długich, mocnych zębów i bezokich oczodołów, w których niegdyś, tak jak w naszych, płonął żar. W trumnie leżał amulet o osobliwym, egzotycznym wzorze, który śpiący nosił zapewne na szyi. Przedstawiał on dziwnie wyrzeźbioną figurkę warującego skrzydlatego psa lub sfinksa z na wpół psim pyskiem, wykonaną na modłę orientalną z małego kawałka nefrytu. Rysy istoty były ze wszech miar odrażające, jakby pławiła się ona ongiś i syciła śmiercią, zwierzęcym bestialstwem i czystym, niepoohamowanym złem.

U podstawy znajdowała się inskrypcja w języku, którego ani ja, ani St. John nie potrafiliśmy zidentyfikować, od spodu zaś jak pieczęć wytwórcy wyrzeźbiona była groteskowa, niesamowita czaszka.

Gdy tylko go ujrzelśmy, wiedzieliśmy, że musimy mieć ten amulet, bo tylko on mógł być godziwym łupem, pamiątką z tego, liczącego sobie pięć stuleci, grobu. Pożądaliśmy go, nawet gdyby jego kształty nie były nam znajome, ale były, stwierdziliśmy to, gdy przyjrzelśmy mu się bliżej. Mogły wydawać się obce wszystkim tym, którzy znają jeno sztukę i literaturę dostępną trzeźwym na umyśle, zrównoważonym koneserom, my jednak rozpoznaliśmy w tym przedmiocie rzecz wzmiankowaną w zakazanym „Necroniconie” szalonego Araba, Abdula Alhazreda, upiorny duchowy symbol pożerającej umarłych sekty z niedostępnego Leng w Azji Środkowej. Nazbyt dobrze rozpoznaliśmy złowrogie rysy opisywane przez starego arabskiego demonologa, rysy, jak pisał, nakreślone na wzór jakiejś niejasnej, nadnaturalnej manifestacji dusz tych, którzy niepokoją umarłych i żywią się nimi.

Zabrawszy zielony nefrytowy obiekt, raz jeszcze spojrzeliśmy w ziejące pustką oczodoły w zapadłej twarzy jego właściciela i zasypaliśmy grób, by wyglądał tak, jak go zastaliśmy. Gdy pospiesznie opuszczaliśmy owo odrażające miejsce, a skradziony przedmiot spoczywał w kieszeni St. Johna, mieliśmy wrażenie, że nietoperze całym stadem zanurkowały ku ziemi, którą niedawno rozkopywaliśmy, jakby zamierzały poszukiwać w niej jakichś plugawych i przeklętych, acz smacznych kąsków. Jesienny księżyc był jednak błądy i świecił słabo, toteż nie mogliśmy tego potwierdzić.

Następnego dnia, gdy opuszczając Holandię, wyruszyliśmy w drogę powrotną do domu, wydawało się nam, że z oddali dobiega nas słabe ujadanie jakiegoś gigantycznego psa. Jesienny wiatr zawodził jednak smętnie i żałośnie, toteż nie mogliśmy stwierdzić tego na pewno.

W niecały tydzień po naszym powrocie do Anglii zaczęły dziać się osobliwe rzeczy. Żyliśmy jak para odludków, bez przyjaciół czy służby, tylko my dwaj w starej posesji stojącej wśród rzadko uczęszczanych posępnych trzęsawisk. Do drzwi naszych nieczęsto zatem pukali goście.

Od tej pory wszelako niepokoiły nas nocne drapania i szurania, nie tylko do drzwi, lecz również do okien, zarówno na parterze, jak i na piętrze. Pewnego razu dostrześliśmy wielkie, nieprzejrzyste cielsko mroczniejące w oknie biblioteki, gdy wpływał przez nie blask księżyca, kiedy indziej zaś wydawało się nam, że gdzieś nieopodal rozlega się głośny ni to furgot, ni trzepotanie. W obu przypadkach poszukiwania nasze spełżyły na niczym i zaczęliśmy nawet przypisywać te wydarzenia wybujałej wyobraźni, podczas gdy w uszach naszych wciąż rozlegało się słabe ujadanie, które, jak nam się zdawało, usłyszeliśmy po raz pierwszy na holenderskim cmentarzu. Nefrytowy amulet znajdował się obecnie w jednej z nisz naszego muzeum i czasami zapalaliśmy przed nim roztaczającą dziwną woń świecę. W Necronomiconie wyczytaliśmy sporo o jego właściwościach, jak również o relacjach między duszami duchów a obiektami, które symbolizował - i to, czego się dowiedzieliśmy, wprawiło nas w przerażenie.

A potem nadeszła groza.

W nocy, dwudziestego czwartego września 19... roku, usłyszałem pukanie do drzwi mego pokoju.

Sądząc, że to St. John, zaprosiłem pukającego do środka, ale odpowiedział mi tylko ochryply śmiech. W korytarzu nie było nikogo. Kiedy obudziłem St. Johna, okazało się, iż nie wie nic o niedawnym zdarzeniu i zmartwił się nim jeszcze bardziej ode mnie. Tej właśnie nocy słabe, odległe ujadanie nad trzęsawiskami stało się dla nas bezsprzecznie przeraźliwą rzeczywistością.

Cztery dni później, gdy obaj przebywaliśmy w sekretnym muzeum, dało się słyszeć ciche, ukradkowe skrobanie do jedynych drzwi, wiodących na schody prowadzące do naszej tajemnej biblioteki. Byliśmy zaniepokojeni w dwójnasób.

Zawsze lękaliśmy się, że nasza upiorna, makabryczna kolekcja może zostać odkryta. Wygasiwszy wszystkie światła, podeszliśmy do drzwi i otworzyliśmy je gwałtownie na oścież - po czym omiótł nas silny podmuch powietrza i usłyszeliśmy jakby niknącą w oddali osobliwą mieszaninę szelestów, chichotów i mamrotania. Nie próbowaliśmy oceniać, czy byliśmy obłąkani, przy zdrowych zmysłach, czy może wszystko to tylko się nam przyśniło. Ze zgrozą stwierdziliśmy jeno, że owo przeraźliwe, bezcielesne mamrotanie tworzyły słowa w języku flamandzkim.

Od tej pory żyliśmy w narastającym przerażeniu i fascynacji.

Przede wszystkim staraliśmy się trzymać teorii, że wskutek naszych perwersyjnych zainteresowań obaj popadliśmy w obłąd. Bywały chwile, że wyobrażaliśmy sobie, iż padliśmy ofiarami jakiejś zatruwającej, zbliżającej się ku nam zguby. Osobliwych manifestacji było teraz zbyt wiele, by można je zliczyć.

Nasz samotny dom ożył obecnością jakiejś złowrogiej istoty, której natury nie potrafiliśmy się nawet domyślić, a każdej nocy coraz głośniejsze nad moczarami przetaczało się groźne ujadanie niewidzialnego ogara. Dwudziestego dziewiątego października w ziemi pod oknem biblioteki odnaleźliśmy niemożliwe do opisanego ślady. Były równie deprymujące jak hordy wielkich nietoperzy, które nawiedzały starą posiadłość w niespotykanej dotąd liczbie.

Koszmar osiągnął swą kulminację dziewiętnastego listopada, kiedy St. John, zmierzając do domu po zmierzchu ze stacji kolejowej, został pochwycony i rozdarty na strzępy przez jakiegoś przerażającego, drapieżnego stwora. Jego wrzaski dotarły aż do domu, a gdy pospieszyłem z pomocą, dotarłszy na miejsce upiornego mordu, usłyszałem trzepot skrzydeł i ujrzałem niewyraźną, mglistą istotę odcinającą się na tle wschodzącego księżyca.

Mój przyjaciel umierał, gdy do niego przemówiłem, i mówił bardzo niespójnie. Słyszałem jedynie: - Amulet... ta przeklęta rzecz...

A potem zległ, stając się pozbawioną życia bryłą zmasakrowanego mięsa.

Następnej nocy pogrzebałem go w jednym z naszych zaniedbanych ogrodów, wypowiadając nad jego ciałem inkantację z pewnego diabelskiego rytuału, który tak lubił za życia. Gdy skończyłem demoniczną sentencję, usłyszałem dochodzące od strony trzęsawisk słabe ujadanie jakiegoś gigantycznego ogara. Księżyc wzeszedł, ale nie odważyłem się unieść wzroku. Kiedy zaś ujrzałem na słabo oświetlonych moczarach ogromny cień przepływający od jednego pagórka do drugiego, zamknąłem oczy i rzuciłem się na ziemię. Kiedy się podniosłem, rozdygotany, wiele chwil później, chwiejnym krokiem wróciłem do domu i złożyłem korny pokłon przed wyniesionym na piedestał amuletem z zielonego nefrytu.

Lękając się mieszkania samotnie w starym domu na moczarach, następnego dnia wyjechałem do Londynu, zabierając ze sobą amulet i uprzednio niszcząc, przez spalenie bądź zakopanie, zbiory znajdujące się w naszym osobliwym muzeum. Jednak już trzy noce później znowu usłyszałem ujadanie, a zanim tydzień dobiegł kresu, poczułem na sobie po zmierzchu spojrzenie niewidzialnych oczu. Pewnego wieczoru podczas przechadzki po Victoria Embankment ujrzałem czarny kształt przesłaniający blask latarni i odbijający się w wodzie. Wiatr, silniejszy niż nocna bryza, omiótł mnie i zrozumiałem, że to samo, co spotkało St. Johna, spotka wkrótce i mnie.

Następnego dnia starannie owinałem nefrytowy amulet i popłynąłem do Holandii. Nie wiedziałem, czy zwracając przedmiot jego uśpionemu, milczącemu właścicielowi, uzyskam przebaczenie, ale czułem, że muszę spróbować każdej możliwej alternatywy. Wciąż nie do końca wiedziałem, czym był ogar i dlaczego mnie ścigał, ale po raz pierwszy usłyszałem ujadanie na starym cmentarzu i każdy późniejszy wypadek, w tym także ostatnie słowo, jakie wyszeptał do mnie St. John, zdawały się łączyć kłutwę z kradzieżą amuletu. Nic przeto dziwnego, że pogrążyłem się w czarnej rozpacz, kiedy w gospodzie w Rotterdamie odkryłem, iż złodzieje pozbawili mnie jedynej nadziei ocalenia.

Tego wieczoru ujadanie było głośniejsze niż zazwyczaj, rankiem zaś dowiedziałem się o potwornej, niewyjaśnionej zbrodni, jaka wydarzyła się w najplugawszym zakątku miasta.

Szumowiny wpadły w przerażenie, nigdy bowiem, nawet w tej zakazanej dzielnicy, nie dokonano równie okrutnego i odrażającego czynu.

W złodziejskiej melinie cała rodzina została rozdarta na strzępy przez nieznaną istotę, która nie pozostawiła po sobie śladów, a ci, którzy znajdowali się w okolicy, słyszeli przez całą noc głębokie, niezbyt głośne ujadanie wielkiego psa.

W końcu jednak znalazłem się znów na zapomnianym, odrażającym cmentarzu, gdzie błądy zimowy księżyc malował upiorne cienie, a pozbawione liści drzewa pochylały się ponuro na spotkanie wyschłej, oszronionej trawy i zmurszałych płyt. Kościół o ścianach obrośniętych bluszczem mierzył drwiąco palcem dzwonnicy w nieprzyjazne niebo, nocny wiatr natomiast zawodził opętańczo, napływając znad zmarzniętych bagien i skutych lodem mórz. Ujadanie było teraz bardzo słabe i umilkło zupełnie, gdy zbliżyłem się do grobu, który ongiś zbeczcziłem, płosząc swym pojawieniem się osobliwie liczne stado nietoperzy, nie wiedzieć czemu kołujących właśnie nad tą mogiłą.

Nie miałem pojęcia, dlaczego tam przybyłem, chyba tylko po to, by odmówić modlitwę bądź historycznie błagać o przebaczenie, starając się ułagodzić cichą, białą istotę spoczywającą w tym miejscu, a jednak wbrew rozsądkowi zaatakowałem na wpół zamarznąłą ziemię z rozpaczą po części przynależną do mnie, po części zaś do owej dominującej woli istniejącej poza mną. Wykopanie truchła było łatwiejsze, niż się spodziewałem, choć w pewnej chwili me poczynania zostały w osobliwy sposób zakłócone - nagle bowiem z zimnego nieba spikował chudy sęp i zaczął dziobać zajadle ziemię mogiły, póki nie zabiłem go jednym ciosem łopaty. W końcu dokopałem się do gnijącej, podłużnej skrzyni trumny i usunąłem przeżarte wilgocią wieko. I to ostatnia racjonalna czynność, jaką pamiętam.

Wewnątrz liczącej sobie setki lat trumny, pokrytej koszmarną zbitą warstwą ogromnych błoniastoskrzydłych uśpionych nietoperzy, spoczywała koścista istota, którą wraz z przyjacielem okradliśmy. Nie była wszelako czysta i spokojna jak wówczas, gdy ją ujrzelśmy, lecz pokryta zaschniętą warstwą krwi i obcych szczątków oraz włosia. Łypała na mnie bezokimi, jarzącymi się osobliwą fosforescencją oczodołami, a ostre, okrwawione kły kłapały ironicznie i złowrogo zarazem, dworując sobie z mej nieuchronnej zguby. A gdy spomiędzy tych uśmiechniętych upiornie szczęk dobyło się głębokie, sardoniczne ujadanie, niby jakiegoś gigantycznego ogara, i ujrzałem, że w brudnych, skąpanych w posoce, zaciśniętych niczym szpony palcach tkwi utracony przeze mnie, złowrózby amulet z nefrytu, wrzasnąłem na całe gardło i pobiegłem jak szalony, a mój krzyk niebawem przerodził się w wybuch historycznego śmiechu.

Szaleństwo płynie z gwiazdnym wiatrem... pazury i kły ostrzone na trupach przez stulecia... ociekająca śmierć dosiadająca stad nietoperzy wylatujących z czarnych jak noc ruin zapomnianych, z dawna pogrzebanych świątyń Beliala... Teraz, gdy ujadanie owej umarłej, odartej z ciała potworności narasta coraz bardziej, a ukradkowe łopotanie i trzepot tych przeklętych błoniastych skrzydeł z każdą chwilą się przybliża i przybiera na sile, poszukam z mym rewolwerem zapomnienia, które jest dla mnie jedyną ucieczką przed tym, co nie nazwane i czego nie sposób nazwać.

Autor: Howard Phillips Lovecraft

[Początek]